Małgorzata Mossakowska-Górnikowska

MROCZNY SPADEK

„Najgorzej, jak się za przestępstwa biorą przyzwoici ludzie, pomysły mają nie z tej ziemi i sam diabeł za nimi nie trafi".

Joanna Chmielewska ***Upiorny legat***



Małgorzata Mossakowska-Górnikowska
„Mroczny spadek”

Copyright © by **Małgorzata Mossakowska-Górnikowska**, 2017
Copyright © by **Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o.**, 2017

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Żadna część niniejszej publikacji nie może być reprodukowana, powielana i udostępniana w jakiejkolwiek formie bez pisemnej zgody wydawcy.

Redaktor prowadząca: **Renata Grześkowiak**
Korekta: **Bożena i Janusz Sigismundowie**
Projekt okładki: **Jakub Kleczkowski**
Skład: **Jacek Antoniewski**
Zdjęcie na okładce: **Małgorzata Mossakowska-Górnikowska**

ISBN: 978-83-8119-032-9

Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o.
ul. Spółdzielców 3/325, 62-510 Konin
tel. 63 242 02 02
http://psychoskok.pl
e-mail: wydawnictwo@psychoskok.pl

1

Stali w wąskim korytarzu na IV piętrze, tuż obok windy, przed drzwiami do mieszkania. Na klatce panował półmrok, gdyż okno na półpiętrze wpuszczało niewiele światła, a i ono zatrzymywało się dużo niżej i dalej, jeszcze na kręconych schodach. Spojrzeli na siebie, próbując dodać sobie odwagi. Nie mieli wyjścia – musieli wejść do środka.

Majka sięgnęła do kieszeni po klucze. Spróbowała włożyć pierwszy do zamka pod klamką. Nie pasował. Spróbowała drugi. Wszedł, więc przekręciła go w lewo. Nacisnęła na klamkę, jednak drzwi nadal pozostały zamknięte.

– Jeszcze trzeba otworzyć na górze – powiedziała trochę do siebie, trochę do stojącego obok brata. Wybrała największy klucz i włożyła do górnego zamka. Dał się przekręcić w odwrotną stronę. Po raz drugi lekko nacisnęła na klamkę. Delikatnie otwierała drzwi, jakby bojąc się tego, co za nimi zastanie...

Uderzyła ich fala dusznego, nagrzanego powietrza. Wraz z nią poczuli potworny smród. Instynktownie cofnęli głowy.

– Jezu! – powiedziała Majka, zakrywając usta i nos ręką. – Tak nie wejdziemy. Musimy czymś się zasłonić. – Zrobiła krok do tyłu na korytarz. Na dworze było gorąco, więc miała na sobie tylko cienkie spodnie i koszulkę z krótkim rękawem. Żadnego swetra, kurtki, chustki, którymi można by osłonić nos. Zaczęła grzebać w torebce w poszukiwaniu chusteczek jednorazowych. Wyjęła paczkę i dwie chustki dała bratu, a dwie wyjęła dla siebie. – Może z tym spróbujemy. Nie mam nic innego...

Ponownie uchyliła drzwi i pierwsza weszła do środka. W wąskim przedpokoju po lewej stronie stała szafka z lustrem. Wokół niej walały się puste butelki po piwie, winie. Na szafce stał stary aparat telefoniczny z okrągłą tarczą. Jego przewód był wyrwany ze ściany razem z oprawką i zwisał przewieszony przez szafkę. Pod ścianą leżały na stercie jakieś ubrania, plastikowe siatki. Nad wszystkim unosiły się pyłki kurzu oświetlone jasnym słońcem wpadającym przez otwarte drzwi dużego pokoju. Ostrożnie stawiali stopy na lekko chyboczących się drewnianych deskach starego parkietu. Wielu z nich brakowało, więc trzeba było uważać na dziury. Vis-à-vis wejścia, na końcu przedpokoju były drzwi do łazienki. Nie miały szyby, a metalowa klamka wyglądała tak, jakby chciała zaraz odpaść. Majka przeszła obok łazienki i stanęła na progu pokoju. Widok był okropny. Potworny bałagan i brud bezlitośnie wyeksponowany silnymi promieniami słońca wpadającymi przez duże okno. Po lewej stronie, zaraz przy wejściu spory regał. Za szklaną witryną poprzewracane szklanki, kieliszki, wśród nich fragment sztucznej szczęki. Na półkach butelki, szklanki przemieszane z jakimiś szmatami, ubraniami, stare rachunki, kwity i papiery noszące ślady rozlanego wina. Za regałem, na stole z ceratą kilka talerzy z resztkami jedzenia, dwa otwarte słoiki z czymś, co kiedyś mogło być jadalne, ale teraz było jedynie wylęgarnią małych muszek, które czując ruch powietrza, podleciały czarną chmurą do góry. Popielniczka i stojąca obok pokrywka od słoika pełna petów, kilka brudnych sztućców, nadgryziona kajzerka, kilka drobnych monet. Obok stołu łóżko wyglądające jak barłóg. Zmięta pościel tak brudna, że trudno określić kolor, jaki kiedyś nosiła. Stare poduszki rozrzucone pod ścianą, a na nich sterta ubrań.

Po prawej stronie rozklekotana lampa z wyblakłym, materiałowym abażurem i dwa – zupełnie niezniszczone – skórzane

fotele wyglądające tak, jakby znalazły się tu przez przypadek. Obok ogromna trzydrzwiowa szafa. Wszystkie jej drzwi otwarte na oścież. Większość ubrań wisiała na wieszakach i leżała na półkach, tylko mała ich część została wyrzucona na podłogę lub zwisała w nieładzie z regału. W środku otwartego kredensu, wśród sterty bezładnie wrzuconych papierów można było dojrzeć pokaźny album ze zdjęciami.

Jednak tym, co najbardziej przyciągało uwagę od wejścia, była duża, zaschnięta plama krwi znajdująca się na podłodze pod oknem. Jeden jej brzeg był nieco jaśniejszy, jakby wytarty byle jak szmatą, drugi zaś błyszczący i mocno brunatny. Zaraz obok, na podłodze leżała zabrudzona koszula, którą ktoś niezdarnie próbował wytrzeć krew.

Zaduch i smród panujący w mieszkaniu był tak potworny, że trzeba było natychmiast otworzyć okno. – Igor, idź i otwórz okno, bo się tu podusimy – powiedziała Majka zza chusteczki. Brat niechętnie zrobił krok do przodu i omijając rozrzucone ubrania na podłodze i plamę krwi, podszedł do okna. Zsunął szarą od brudu firankę i mocno przekręcił klamkę. Do środka wtargnął hałas ulicy i przejeżdżającego tramwaju, a wraz z nim podmuch świeżego powietrza. – Dobra, idziemy zobaczyć dalej – stwierdziła Majka i odwróciła się na pięcie w stronę kolejnego pomieszczenia. Znów minęła łazienkę i z przedpokoju weszła do małego pokoju wydzielonego z sąsiadującej z nim kuchni. Panował tam bałagan porównywalny do tego w poprzednim pomieszczeniu. Niewielki tapczan przy oknie zarzucony szmatami i czymś na kształt koca czy kołdry w brudnej poszewce. Na parapecie maszynka elektryczna, na niej nadpalony garnek. Wokół otwarte słoiki, brudne noże i widelce, resztki chleba. Przy łóżku niewielka szafa z uchylonymi drzwiami pozwalającymi dojrzeć część zawartości: rozrzucone leki, bandaże, gazety, butelki, śmieci. Pod ścianą złożona drabina i metalowy kubeł.

– Zobaczymy jeszcze kuchnię i wychodzimy. – Majka zrobiła krok w stronę tekturowej ścianki oddzielającej pokój od części kuchennej. Stanęła w wejściu i nie była w stanie ruszyć się dalej. Jej wzrok padł na kosz pełen śmieci. Wokół niego i po nim biegały prusaki. Nieco wyżej, na dwóch niewielkich blatach znajdowały się resztki jedzenia, przewrócona plastikowa butelka po kefirze, kolejne pootwierane słoiki. W zlewie stał garnek z breją, nad którą latał rój muszek. Smród w kuchni był jeszcze gorszy i silniejszy niż w pozostałej części mieszkania.

– Wychodzę... Już nie mogę – stwierdziła Majka i odwróciła się w stronę wyjścia. – Żeby tylko żadne robactwo na nas nie przeszło. Ruszaj! – wydała polecenie bratu i delikatnie stawiając stopy na podłodze, przeszła przez przedpokój i wyszła zaraz za Igorem na klatkę schodową.

– Co za syf! Co za melina! Jezu! Najgorsze, że musimy tam zaraz wrócić i zrobić coś z tym jedzeniem, żeby nie psuło się dłużej w tym upale... – Majka spojrzała na brata i ciągnęła dalej: – Ale strach tam wchodzić takim rozebranym. Ja już tak nie wchodzę. Muszę coś na siebie założyć.

Zamknęła drzwi na klucz, choć równie dobrze mogłaby tego nie robić. Kto chciałby wchodzić do takiego mieszkania. Zeszli schodami, żeby trochę ochłonąć i swobodnie pooddychać. Mijali w milczeniu kolejne piętra. Wyszli z budynku i stanęli przed klatką.

– Słabo to wygląda – stwierdził Igor. – Dawno tam nie byłem. Aż się nie chce wracać...

– No słabo. Najgorszy jest ten smród. I robactwo. I brud. I ta krew na podłodze. Jezu...

Majka włożyła ręce w kieszenie, jakby próbując schować się przed tym wszystkim, co przed chwilą widziała. Spojrzała przed siebie i powiedziała:

– Przyjdziemy tu jutro rano. Spróbuję zorganizować jakieś stroje, w których moglibyśmy wejść do środka bez obaw, że coś nas oblezie. I wory na śmieci. Trzeba powyrzucać wszystko, co psuje się w tym upale. Przed twoją pracą, masz drugą zmianę. O godzinie 9 będzie OK? – spytała brata.

– OK, podjedziemy rano. To do wieczora! Cześć! – Igor kiwnął głową, odwrócił się i ruszył w stronę przystanku autobusowego.

– Cześć – rzuciła Majka w powietrze i skierowała się w stronę parkingu. Wsiadła do swojego 14-letniego volkswagena i odkręciła dwie przednie szyby do końca, gdyż w samochodzie było niewyobrażalnie gorąco. Odpaliła silnik, wrzuciła kierunkowskaz i powoli wyjechała na ulicę. Czuła się potwornie przygnębiona. Takiego widoku się nie spodziewała. Zakładała, że w mieszkaniu będzie nieprawdopodobny syf, oczami wyobraźni widziała dziesiątki pustych butelek walających się po podłodze, gdzieś pod ścianą rozgrzebane łóżko, jednak to, co zobaczyła, wielokrotnie przerosło jej przewidywania. Ostatni raz była w tym mieszkaniu ponad 10 lat temu. Wyglądało wówczas zupełnie inaczej. Było nieco zatęchłe i zaniedbane, proszące się o gruntowne sprzątanie, jednak jeszcze wtedy nie było w tym nic nadzwyczajnego. Mieszkała tam ponad 80-letnia babka, która poruszała się jedynie stałymi, codziennymi ścieżkami prowadzącymi przez środek przedpokoju do łazienki, kuchni i pokoju. Nie widziała już zbędnych rzeczy nadmiernie „dekorujących" przestrzeń. Na skrajach mebli i na trasie przejścia umieszczała coraz to nowe przedmioty, tak aby były pod ręką. Tym sposobem w przedpokoju pod lustrem rosły sterty ubrań, plastikowych torebek i szmat. Stare szczotki do butów mieszały się z kolejnymi grzebieniami do włosów, wsuwkami, pojedynczymi sztucznymi kwiatami, a nawet starymi pończochami i rajstopami odkładanymi bez żadnej logiki w jeden kąt.

2

Babka Zalewska pozostała we wspomnieniach w głowie Majki jako dość antypatyczne indywiduum. Wnuki tolerowała w czasie krótkich wizyt jedynie kilka razy do roku. Przyjeżdżała do nich na Wielkanoc i święta Bożego Narodzenia i przyjmowała je z wizytą, jako zło konieczne, u siebie w Dniu Babci. Zadawała wówczas dyżurne pytanie o oceny w szkole, otwierała portfel i wyjmowała z niego jakiś banknot. Zwijała go niedbale w dłoni i wciskała w małą rączkę, uznając, że spełniła swój obowiązek najlepiej, jak tylko można było. Nie było rozmów, zabaw, przytulania czy jakichkolwiek innych form zainteresowania. Całą uwagę koncentrowała na swoich dwóch, od dawna dorosłych synach: Sławku i Waldku. Oczywiście ani jedna, ani druga synowa nie spełniała oczekiwań babki, jednak łaskawiej traktowała Marylę – żonę starszego syna Waldka. Maryla była dziewczyną bez specjalnych oczekiwań i horyzontów. Pracowała w okienku na poczcie, nie miała – w oczach babki –wygórowanych wymagań w postaci wakacyjnych wyjazdów nad morze czy załatwienia kolonii dla dziecka, co niewątpliwie przemawiało na jej korzyść. Maryla nigdzie nie wyjeżdżała, a dzieci wysyłała do rodziny na wieś. I to była ta lepsza synowa.

Gorsza, żona Sławka, była dziewczyną po studiach i w oczach babki miała przewrócone w głowie, gdyż sama nie robiła przetworów, tylko kupowała gotowe dżemy i konserwowe ogórki w sklepie, w czasie wakacji, zamiast siedzieć na miejscu i tym samym oszczędzać, wynajmowała prywatną kwaterę i jechała na wielkopański urlop. Były to – w jej pojęciu – fanaberie nie

do zaakceptowania. Poza tym żona Sławka była dziewczyną z Warszawy, a to już dyskwalifikowało ją w sposób znaczący, gdyż nie znała życia na wsi i pracy w polu. Babka pochodziła ze wsi. Wydano ją w wieku 17 lat za oficera kawalerii i w dniu ślubu zamieszkała pod jednym dachem ze swoją teściową, która kazała jej szorować podłogi, myć gary, wstawać rano do zwierząt, pracować przy zbiorach i zasiewach. Nie miała nic do gadania i po latach taki model wzajemnych relacji wydawał jej się oczywisty i bezdyskusyjny. Niestety, jej synowe, w mniejszym lub większym stopniu, starały się nie żyć pod presją teściowej.

Mąż babki, stary Zalewski, zmarł w wieku 82 lat na nowotwór płuc, paląc do samego końca dwie paczki papierosów bez filtra dziennie. Ona sama w chwili, gdy została wdową, miała 65 lat. Dom, w którym mieszkała od lat, stał się dla niej za duży. Nie chciała dbać ani o ogródek, ani o kawałek pola za domem, więc jej siostry postanowiły wyswatać ją z jakimś miłym wdowcem z Warszawy. Kandydat – poza wdowieństwem – powinien spełniać w zasadzie tylko jeden warunek: być posiadaczem własnościowego, wygodnego mieszkania, do którego babka mogłaby się szybko przenieść. Gorączkowe poszukiwania przyszłego męża dla babki Zalewskiej nie trwały długo. Zaaranżowano spotkanie u jednej z sióstr z dawno owdowiałym, ale żwawym jeszcze, Gustawem Staniszewskim.

Gustaw błyskawicznie wpadł w sieci zastawione na niego przez trzy przebiegłe kobiety. Babka robiła, co mogła, by oczarować go resztkami pozostałego w niej dawnego wdzięku. Siwe włosy nakręcała na wałki i upinała w opadające na ramiona fale. Zakładała dawno nie noszone sukienki, policzki traktowała różem, a brwi zaznaczała mocną kredką. Gładziła Gustawa po dłoniach, mówiąc, że przy niej będzie szczęśliwy tak jak przy pierwszej żonie. Siostry pomagały jej, zapraszając przyszłych

narzeczonych na przemian do siebie co kilka dni na obiad, herbatę i ciasto. Gustaw czuł się rozpieszczany. Po trzech miesiącach uwierzył w to, że zakochał się w babce Zalewskiej i pragnie ich związek udokumentować w Urzędzie Stanu Cywilnego. Naprędce zorganizowano termin i „młodzi" podpisali papiery potwierdzające zawarcie związku małżeńskiego.

Babka przeprowadziła się do Gustawa, a dom wraz z przyległą do niego ziemią wystawiono na sprzedaż. Szybko znalazł się kupiec i babka zainkasowała wcale pokaźną sumkę, którą podzieliła. Połowę zostawiła dla siebie, każdego zaś z synów obdzieliła jedną czwartą uzyskanej kwoty. Założono wówczas w banku trzy rachunki, na które babka przelała wcześniej rozdysponowane pieniądze. Uczuliła przy tym synów, żeby rządzili swoimi częściami ojcowizny rozsądnie i nie wydawali nic na żony czy dzieci, tylko trzymali wszystko dla siebie na własne potrzeby.

Mieszkanie Gustawa, w porównaniu z dotychczasowym sporym domem, szybko okazało się dla babki mało komfortowe. Wymyśliła, że Gustaw powinien zamienić z kimś swoją kawalerkę na dwupokojowe mieszkanie w tym samym budynku. Sąsiadka mieszkająca piętro niżej miała taki lokal i Gustaw dopóty do niej chodził z propozycją zamiany, dopóki nie uzyskał jej zgody na przeprowadzkę do kawalerki. Notariusz spisał odpowiednie dokumenty i Gustaw wraz z babką zamieszkali w dwupokojowym mieszkaniu na IV piętrze kamienicy w samym centrum Warszawy. Właśnie w tym mieszkaniu, z którego Majka wyszła przygnębiona.

Gustaw był dobrym człowiekiem. Biegał wokół babki Zalewskiej vel Staniszewskiej, dogadzając, jak tylko umiał. Któregoś ranka, wchodząc na górę schodami – w ramach dbania o tężyznę fizyczną – źle się poczuł, zasłabł i upadł. Uderzył głową o kamienny stopień. Być może, gdyby szybko nadeszła pomoc,

miałby szansę na przeżycie. Jednak upłynęło sporo czasu, zanim go znaleziono. Lekarz, który przyjechał, stwierdził zgon.

Babka została wdową po raz drugi. Jej pierwsze małżeństwo trwało prawie pół wieku, a drugie niespełna 2,5 roku. Teraz jednak nie musiała już szukać kandydata na męża. Miała sporą emeryturę po Gustawie, wygodne mieszkanie i zabezpieczenie w banku na wszelkie nieprzewidziane sytuacje.

Ponowne wdowieństwo nie spowodowało, że zainteresowała się wnukami. Zupełnie przestała jeździć do domów swoich synów. Zapraszała ich do siebie na karty, wódeczkę i dobry obiad. Grali na pieniądze w tysiąca, kłócąc się przy tym nieustannie. Na zgodę babka wyciągała po kilka, kilkanaście dolarów z szuflady i dawała synkom, żeby kupili sobie coś luksusowego w PEWEX-ie. Czasem wystarczało na lepszy alkohol, a czasem na prawdziwe dżinsy czy sztruksy. Ani Waldkowi, ani Sławkowi nie przyszło nigdy do głowy, by kupić swoim dzieciom jakąś zabawkę czy coś do ubrania. Pieniądze od matki wydawali wyłącznie na siebie.

Majka, przez wzgląd na ojca, przez wiele lat zachowywała pozory i dygała grzecznie przed babką, ale nigdy jej nie lubiła. Stojąc z nią w jednym pokoju, czuła na sobie jej świdrujące, małe i bystre oczka, które patrzyły na nią nieufnie. Była, w opinii babki, wykapanym odzwierciedleniem swojej matki, więc nieświadomie dźwigała na sobie brzemię fanaberyjnej dziewczyny, która ma zapewne tak samo przewrócone w głowie jak rodzicielka. Wraz z pełnoletnością przestała jeździć do babki. Nigdy też nie dostała od niej zaproszenia na herbatę czy ciasto. Babka nigdy do niej nie zadzwoniła, a i ona nigdy nie zadzwoniła do babki. Nie nazywała jej nigdy babcią, lecz babką, jednak uważała, że ona sama sobie na tę formę zasłużyła.

O jej śmierci dowiedziała się od kuzyna. Zamierzała nawet iść na pogrzeb, jednak dopadła ją grypa, więc bez większych

wyrzutów sumienia została w domu. Śmierć babki przez kilka tygodni była przedmiotem dochodzenia prokuratury. Zmarła w domu, jednak nie był to zgon na skutek długotrwałej choroby czy w wyniku naturalnego procesu starzenia się organizmu. Babka zachwiała się w przedpokoju, a upadając, uderzyła głową o komódkę. Rozcięcie na głowie było dość głębokie, więc lekarz z karetki, który przyjechał na wezwanie Sławka, zastał po wejściu dość makabryczny widok. Babka leżała martwa w kałuży krwi na środku przedpokoju, z szeroko otwartymi oczami. Wezwano policję. Pojawiło się podejrzenie, że to Sławek w kłótni pchnął matkę, powodując jej upadek i śmierć. Dochodzenie nie potwierdziło jednak tej wersji i Sławek po tygodniu został zwolniony z aresztu do domu.

Nie płakał po matce. Najbardziej zależało mu na jak najszybszym wyjęciu z banku wszystkich jej oszczędności. Nie zamierzał ujawniać, że matka nie żyje. Wiedział, że wówczas konieczne będzie przeprowadzenie postępowania spadkowego w sądzie. On nie chciał się niczym dzielić ze swoim bratem. Waldek od dobrych kilku lat interesował się wyłącznie coraz to nowymi kobietami. Z niektórymi nawet się żenił, a potem z hukiem rozwodził. Miał cztery żony i niezliczoną rzeszę kochanek. Istniało ryzyko, że jakaś część majątku spadłaby na obecne bądź poprzednie żony, a tego Sławek w ogóle nie chciał brać pod uwagę.

Korzystając z upoważnień, które jakiś czas przed śmiercią dała mu coraz bardziej niedołężna matka, wypłacił wszystkie pieniądze z jej konta i wpłacił na swoje. Miał szczęście, że Waldek zajęty był kolejną miłą panią i nie interesowało go nic ponadto.

Od tego czasu hulał od rana do nocy. Do mieszkania matki zapraszał wszystkie napotkane po drodze pijaczki. Drzwi na IV piętrze nigdy nie były zamknięte. Po okolicy szybko rozeszła

się wieść, że można tu przyjść, przespać się, napić za darmo i posiedzieć. Schodziło się tu najgorsze towarzystwo z szemranych kamienic z centrum Warszawy. Renoma doskonałej meliny dotarła aż na Wolę, skąd nieraz przyjeżdżali nowi chętni na darmową popijawę.

Policja, nieustannie wzywana przez lokatorów kamienicy, doskonale znała ten adres, elektrownia dawno temu wyłączyła prąd, a wspólnota mieszkańców co i rusz wystosowywała kolejne pisma o rosnącym zadłużeniu.

Ani Majka, ani Igor od kilku lat nie mieli z ojcem żadnego kontaktu. Tydzień temu, po jego śmierci, dostali klucze do zarobaczonej meliny na IV piętrze. I musieli coś z tym wszystkim zrobić.

3

I znów stali na korytarzu przed drzwiami. I tak jak poprzednio, żadne z nich nie miało ochoty tam wchodzić. Wyglądali jak ekipa *Ghostbusters* przed rozpoczęciem akcji wykurzania duchów. Ubrani w białe, cienkie, materiałowe kombinezony robocze z marketu budowlanego. Majka kupiła dwa w rozmiarze XL. Tylko takie były. Igor wyglądał w nim jeszcze jako tako, gdyż zarówno rękawy, jak i nogawki były mniej więcej odpowiedniej długości. Niestety, na Majkę strój był o wiele za duży. Na głowach zasznurowali kaptury, a na oczy założyli plastikowe okulary, które były w komplecie razem z maseczką przeciwpyłową. Bardziej zasadne byłyby maski tlenowe, gdyż smród panujący w mieszkaniu przyprawiał o zawroty głowy. Do tego rękawice gumowe, żeby niczego nie dotykać gołymi rękami i cały rulon worów plastikowych na śmieci i resztki jedzenia, które psuły się w upale porozrzucane po kątach.

– Dobra, wchodzimy, nie ma co dłużej zwlekać. – Majka przekręciła klucz w drzwiach i nacisnęła klamkę. Weszli do przedpokoju. Wszystko wyglądało tak jak poprzednio. Tylko teraz trzeba było na to spojrzeć pod kątem wrzucania do worów. Nie chodziło o zupełne oczyszczenie mieszkania. Na to nie byli przygotowani. Mieli zamiar wyrzucić wszystko, co mogło się psuć i śmierdzieć. Pogoda nie sprzyjała wyzwaniu. Od kilku dni panowały w mieście potężne sierpniowe upały. Słońce rozkręcało się już od samego rana, grzejąc w szyby silnymi promieniami.

– Zróbmy tu przeciąg, bo nie wytrzymamy długo. Igor, otwórz okna po dwóch stronach mieszkania. Może szyby nie powypadają. – Majka, jak zwykle, musiała mówić bratu, co ma robić, bo inaczej stałby bezradnie i patrzył jak wół na malowane wrota. – I potem chodź tu do mnie. Ja będę trzymać wór, a ty będziesz wrzucał, jak leci.

Zaczęli od dużego pokoju. – Zanim zajmiemy się tym, co na stole, muszę wyrzucić tę sztuczną szczękę, co leży na regale, bo zwymiotuję. – Majka z obrzydzeniem wzięła w dwa palce szczękę i wrzuciła do worka. – No, teraz mogę iść dalej. Chyba już nic gorszego nie wezmę dziś do ręki.

Stanęła przy stole, trzymając otwarty worek, a Igor wrzucał do niego resztki jedzenia wraz z talerzami i sztućcami, słoiki, butelki, popielniczki z petami. – Weź jeszcze to coś, co wygląda jak nie wiem co, ale może być siedliskiem robactwa, brrrr. – Majka wskazała na sporą szmatę, która była kiedyś jakimś elementem męskiej garderoby, może koszuli. – I jeszcze te rzeczy z podłogi przy okazji. Będzie mniej brudnych szmat... Dobra, wystarczy, trzeba już związać, bo nic więcej się nie zmieści. Biorę następny worek.

Majka oderwała kolejny kawał plastiku z rulonu, a Igor wziął napełniony wór i wystawił go przed drzwi. Dopiero teraz uświadomili sobie, jak duże wyzwanie przed nimi. Worów takich jak ten, co już zawiązali, wypadałoby wynieść od razu ze 40. Tylko nie mieli gdzie tego wyrzucać. Śmietnik na środku podwórka był zamknięty. Nie mieli do niego klucza. Trzeba było kombinować i wrzucać wory przez niewielką lukę pomiędzy dachem a metalowymi drzwiami. Po klucze do dozorcy nie chcieli chodzić, żeby nie musieć odpowiadać na żadne pytania i tłumaczyć, że są z tego czy z tego lokalu. Wiadomo było, że wcześniej czy później będą musieli złożyć wizytę w administracji, jednak nie chcieli robić wszystkiego od razu. Trzeba było zacząć od tego, co najpilniejsze.

Pogrzeb ojca miał się odbyć za trzy dni. Jego ciało leżało jeszcze w Zakładzie Medycyny Sądowej i dopiero miało zostać przewiezione do zakładu pogrzebowego. Prokuratura zleciła przeprowadzenie sekcji zwłok, gdyż znaleziono go martwego w domu, siedzącego w kałuży krwi. Znalazła go sąsiadka z mieszkania vis-à-vis, którą zaniepokoiła kilkudniowa cisza na klatce oraz odgłosy bezskutecznego dobijania się do drzwi. Jak się później okazało, nie była to taka zwykła sąsiedzka troska.

Z dużego pokoju wynieśli trzy pełne wory i uznali, że czas na najgorsze, czyli na kuchnię. Igor wszedł pierwszy. Chciał podnieść kosz ze śmieciami i cały wrzucić do worka. Zdążył tylko lekko go unieść, żeby zaraz odrzucić od siebie z krzykiem:

– Jasna cholera! – zawołał. Kosz głucho uderzył o podłogę, a część jego zawartości rozsypała się wokół. – To żyje! – dodał histerycznym głosem. Wokół kosza w jednej chwili rozbiegła się nieprawdopodobna masa robactwa. – Wychodzę stąd! – Igor w jednej chwili wyskoczył z kuchni.

Musiał jednak za chwilę wrócić, gdyż nikt inny nie mógł tego za niego zrobić. Majka schowała się za ścianą przedpokoju i oświadczyła, że ona tego nie dotknie. Na szczęście wydawało się, że to, co było w koszu, już w większości z niego uciekło i można go było w miarę bezpiecznie podnieść. Niebezpieczniej zrobiło się za to w innych rejonach, gdyż robaki rozlazły się po całym mieszkaniu.

– To wrzuć tylko ten kosz do wora i zaraz się to zawiąże, żeby nic nie wylazło – powiedziała Majka do brata, podając mu kolejny plastikowy worek. – Resztę tego syfu wrzucimy do kolejnego.

Z resztą poszło już sprawnie. Działali w przyspieszonym tempie, jakby obawiając się, ze zaraz ich coś oblezie. Majka co i rusz patrzyła na swoje buty. Starała się zapanować przed chęcią potupywania i strzepywania z siebie czegoś, czego

jeszcze tak naprawdę nie było. Opróżnili lodówkę, w której ku ich zdziwieniu były jakieś normalne produkty: jogurty, kefiry czy ser. Wyjęli wszystko z szafek kuchennych. Na szczęście produktów spożywczych nie było dużo, jednak każda minuta spędzona w mieszkaniu ciągnęła się w nieskończoność.

– Nic więcej teraz nie ruszamy – powiedziała Majka. – Wydaje się, że nic tu już nie wybuchnie. Wychodzimy! – Wzięła dwa zawiązane wory stojące w przedpokoju i skierowała się do drzwi. Igor był tuż za nią z dwoma kolejnymi.

Kiedy już zamierzała nacisnąć klamkę, rozległ się dzwonek przy drzwiach wejściowych. Zatrzymali się i spojrzeli na siebie zdziwieni. Majka lekko uniosła ramiona do góry i zrobiła minę mówiącą, że nie ma pojęcia, kto to może być. Igor powtórzył te same gesty na potwierdzenie, że nie wie dokładnie tak samo jak siostra. Otworzyła więc drzwi bez większego zastanowienia.

Na progu stała niewysoka i mocno przysadzista kobieta. Mogła mieć 60 lat, ale równie dobrze mogła mieć i 10 więcej albo 10 mniej. Miała tłuste, żółto-siwe włosy zaczesane do tyłu. Bury, powyciągany sweter założony niedbale na burobiały podkoszulek tak, że jedno ramiączko stanika wystawało i prezentowało światu swój mocno sfatygowany wygląd. Bure spodnie od dresu i niebieskie, plastikowe klapki na nogach. Miała zmęczoną, opuchniętą twarz. Na ich widok rozchyliła usta w bezgranicznym zdziwieniu. Stała nieruchomo i patrzyła. Majka z Igorem czekali, aż ta wreszcie coś zdoła z siebie wydusić. Worki w ich rękach stawały się coraz cięższe, więc Majka zagaiła:

– Tak? – zapytała, patrząc na kobietę. – Słucham panią...

Nieruchoma postać w jednej chwili ożyła i powiedziała:

– Sprzątacie? To całe szczęście, bo już wytrzymać nie można. Prusaki po całym budynku latają. Szybem od windy rozniosły się na wszystkie piętra – głos miała skrzeczący, a przy

każdym kolejnym zdaniu z trudem nabierała nowy haust powietrza. Jej obfite piersi unosiły się przy tym mocno do góry i opadały wraz z kończonym zdaniem. – Mieszkam tu, naprzeciwko, na piętrze – wskazała na uchylone drzwi po drugiej stronie korytarza. – Czekałam, aż wreszcie ktoś tu przyjdzie. A wy kto jesteście? – zaskrzeczała, patrząc na Majkę.

– Przepraszam, ale nie będziemy teraz rozmawiać. Musimy to wynieść na dół. – Majka zrobiła krok do przodu, zmuszając kobietę do wycofania się w głąb korytarza. Postawiła swoje worki obok windy i przepuściła Igora, który dostawił swoje. – Nie wyjdziemy w tych strojach z klatki – powiedziała do brata. – Zdejmijmy to od razu i wyrzućmy razem ze śmieciami. Nie da się tego użyć drugi raz. Zostaw sobie tylko rękawice. – Majka zamknęła drzwi mieszkania, żeby przeciąg nie wybił okien i przeszła w stronę schodów, gdzie zdjęła z twarzy maseczkę, okulary, rozsznurowała kaptur i zaczęła zdejmować kombinezon. Rzuciła wszystko na ziemię i ponownie włożyła na dłonie gumowe rękawice. Kobieta niezrażona, że nie chcą z nią rozmawiać, cały czas stała i patrzyła.

– Wy mi wyglądacie na dzieci Sławka – zaskrzeczała ponownie. – To bardzo dobrze, bo mam coś dla was. Niespodziankę... – powiedziała i zaśmiała się pod nosem. – Zaraz tu do was wrócę. – Odwróciła się i zniknęła za drzwiami swojego mieszkania.

– Okropna kobieta. Jeszcze nic o niej nie wiem, a już mi się nie podoba – podsumowała Majka, wsiadając do windy, w której leżało sześć dużych, niebieskich worów.